

Urszula Stokłosa

*Dzisiaj
pojedziemy
do babci*

ilustrowała
Zofia Zabrzaska

Wydawnictwo Skrzat
Kraków



ANIA

– Dzisiaj pojedziemy do babci – oznajmiła mama, nie podnosząc głowy znad żelazka.

Ania odłożyła na biurko zeszyt do matematyki i spojrzała w stronę deski do prasowania. Już od dłuższego czasu zastanawiała się, co ma oznaczać ta odświętna sukienka. Te wstrętne falbanki, które mama kazała jej zakładać na specjalne okazje. No tak: kazała. Ania uważała, że stanowczo zbyt wiele jej rozkazuje, a na zbyt mało pozwala. Granatowa sukienka z białym kołnierzem, podszyta od spodu ohydną koronką była tylko kroplą w morzu. Do standardowych matczynych nakazów i zakazów Ania wliczyłaby jeszcze: „Umyj ręce przed jedzeniem!”, „Nie garb się!”, „Ania, na miłość boską, ściszej to, głowa mi pęka!” lub: „Nie, nie dostaniesz smartfona, jesteś jeszcze za mała”, „Idź spać, to nie film

dla dzieci” bądź „Pod namiotem? W ogródku? Z Jaśminą?! Absolutnie!”. A wszystko okraszone oczywiście wykrzyknikiem, „miłością boską” albo tonem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu. Już nie wspominając o braku magicznego „proszę”. Ale ta sukienka przebijała wszystko. Tylko wizyty u babci były gorsze.

– Znowu?! – Ania ułożyła usta w podkówkę. Nawet nie próbowała kryć niechęci.

– Dzisiaj jest Dzień Babci. Już zapomniałaś?

– A Julka? – Dziewczyna próbowała zmienić temat.

– Julka to Julka. Mówimy o tobie.

– Czemu jej zawsze uchodzi głazem?

– Nic jej nie uchodzi głazem... to znaczy: płazem.

Mówi się: płazem.

– No to czemu? – Ania nie dawała za wygraną.

– Bo musi się uczyć do matury.

– Do matury? W styczniu? Przecież maturę ma w maju!

I to w przyszłym roku!

Mama odłożyła na deskę rozgrzane żelazko, a to buchnęło parą, przypominając Ani smoka wawelskiego, który zionął ogniem u podnóża zamku. Podobne skojarzenia wywołał u niej widok mamy, która głośno

wypuściła powietrze z ust, by chwilę później spokojnie poinformować:

– Sukienkę masz już wyprasowaną.

– A musi się uczyć z Patrykiem? – Dziewczyna była uparta.

– Uczy się u koleżanki.

– Akurat. Nie wierzę!

– Ania, nie dyskutuj ze mną...

– A ja mam powtórkę z matmy!

– I nie krzycz na mnie, bo nie jestem twoją koleżanką.

– I nigdy nie będziesz... – rzuciła płaczącym tonem dziewczyna, zatrzymując mamę w drzwiach.

Kobieta przymknęła na chwilę oczy, zaczerpnęła powietrza i odwróciła się w stronę córki.

– Zeszyt do matematyki możesz wziąć ze sobą – powiedziała, zanim zamknęła za sobą drzwi.

~

– Zabrałaś laurkę?

Były już w samochodzie. Niedbale rzucone pytanie odbiło się głuchym echem od tylnego siedzenia, na którym rozparła się dziewczyna.

– Zadałam pytanie – przypomniała stanowczo mama.

Ania przerzuciła spojrzenie z szyby, w którą uparcie wbiła wzrok, odkąd tylko wyruszyły z domu, na lusterko, gdzie odbijały się stalowoszare oczy jej rodzicielki.

– Kartkę. Laurki robią dzieci.

– No to zabrałaś?

– Zabrałam – odburknęła.

– I skończ już z tymi fochami – dorzuciła mama, po czym skoncentrowała się na prowadzeniu pojazdu, a właściwie na wyprowadzeniu go z korków, które o tej porze dręczyły miasto.

Ania ceniła ją za wprawę za kierownicą. Prowadziła samochód niezwykle płynnie, za kółkiem była bardziej cierpliwa niż w domu. A kiedy tylko warunki na to pozwalały, na przykład gdy wyjeżdżała na autostradę, bynajmniej nie ciągnęła się za ciężarówką. Tata mówił na nią kiedyś Hołowczyc, lecz odkąd nie są razem, tylko Julka czasami tak ją nazywa. Ania wołała Kubicę. Był trochę bardziej na czasie. Poza tym uważała, że jeśli ktoś z rodziców zasługuje na miano Hołowczyca czy Kubicy, to zdecydowanie tata. Nie dlatego, że lepiej prowadził – co to, to nie – po prostu szarpał kierownicą,

co jakiś czas dodawał gazu, to znowu zwalniał... Ani za każdym razem robiło się niedobrze od tych jego dzikich manewrów. Tak – za kierownicą zdecydowanie wołała mamę. Ale teraz prawie że jej nienawidziła.

Spojrzała ponownie w kierunku lusterka. Twarz jej rodzicielki wyrażała pełne skupienie. Czoło nie było – jak to zwykle u niej bywa – zmarszczone, oczy, które potrafiły nieraz ciskać piorunami, w tej chwili wydawały się łagodne, skoncentrowane na drodze; wąskie ramiona opuściło napięcie. Mama była rozluźniona – tak jak zawsze, kiedy prowadziła samochód. Pewnie zapomniała już o niedawnej słownej utarczce z córką.

Lecz Ania tak łatwo nie zapomina! Wizyta u babci w środku tygodnia! Na dodatek Julce znowu się upiekło. Nigdy tego mamie nie wybaczy! I nie obchodzi jej, że dzisiaj jest akurat Dzień Babci i że na plastyce sklejali laurki. To znaczy: kartki.

Ania zrobiła najbrzydszą w klasie. Złożyła na pół białą kartkę bloku rysunkowego, na pierwszą stronę przykleiła wyciętą z szarego papieru różę, a w środku napisała:

*Na górze róże,
na dole fiołki,
kochamy się jak dwa aniołki.*

Po chwili jednak rozmyśliła się i zmieniła „aniołki” na „matołki”.

~~*

To był pierwszy wierszyk, który przyszedł jej do głowy. Zresztą zawsze pisała byle co. Najczęściej właśnie ten wierszyk o róży. Nijak się miał do babci, ale Ani było to obojętne. Byle zrobić tę kartkę – jak co roku – zaliczyć i mieć święty spokój. Święty spokój, o który tak często prosiła ją mama. „Ania, daj ty mi, dziecko, już święty spokój” – mówiła.

Za kartkę dostała czwórę. Całą. Bez plusa i bez minusa. Z komentarzem pani plastyczki – tej nowej, młodej, która nosiła barwne chusty i śmieszne kapelusze. Pani Mona Lisa, bo tak ją nazywali w szkole uczniowie, powiedziała Ani, że nie musi oddawać pracy po dwudziestu minutach i żeby może poeksperymentowała trochę z kolorami albo chociaż napisała coś od siebie, zamiast

podpierać się dziecinnym wierszykiem. Ania odparła tylko, żeby dała jej już święty spokój.

Nie okazała się szczęśliwą posiadaczką talentu plastycznego jak Sonia z jej klasy, nie grała na fortepianie jak Fryderyk, na którego koleżanki i koledzy wołali Szopen. Nie była też tak mądra jak Kuba, który nie musiał nic, a jakoś mu szło (nosił w szkole ksywkę Geniusz), ani tak poukładana i zawsze przygotowana do lekcji jak Magda, która stopnie w szkole zawdzięczała ciężkiej pracy i którą przezywano po prostu Kujonka. Ani taka ładna jak Jaśmina, której zawsze się udawało, pomimo tego że żaden z niej Kuba-geniusz czy Magda-kujonka. Ona była po prostu Anią. Na plastyce zbierała zazwyczaj czwórki, nie umiała grać na żadnym instrumencie, nie urodziła się geniuszką (za co winiła czasami mamę), a do lekcji się nie przykładała (zdarzało się jej z premedytacją nie odrobić zadania domowego). Poza tym uważała się za dziewczynę banalnej urody, w przekonaniu o czym utrzymywali ją chłopcy z klasy, którzy – najgorsze z możliwych – traktowali ją jak powietrze. Ania chciała, żeby zaczepiali ją jak złotowłosą



PANI FRANIA, PAN STANISŁAW I WOJTEK

Ania zaczęła się martwić, gdy po kilku, kilkunastu minutach, a może nawet po godzinie czekania mama nadal nie wracała, jej ręce pozostawały sztywne, wzrok się nie poprawiał, a za oknem zaczęło się robić jasno. Wpadła w panikę, gdy próbowała zawołać, lecz z jej ust

nie wydobył się żaden dźwięk. Żaden prócz cichego bulgotania – tego samego, którym odpowiadała czasem babcia. I wtedy zdała sobie też sprawę, że w jej ustach tkwi jakieś obce ciało. Była to znienawidzona przez Anię szpitalna rurka!
Dziewczyna chciała krzyk-

nąć, z jej krzyku wyszło jednak coś dziwnego – po raz kolejny przypominało to odgłos, który wydobywa się czasami z odpływu kuchennego zlewu.

Na drugim końcu sali ktoś się poruszył. Ania słyszała, jak stęknął. Podniósł się powoli z łóżka, włożył kapcie, a potem zaczął nimi szurać, zmierzając w jej stronę.

– No co tam, kwiatuszku? Znowu miałas złe sny?